

Anna Krzpiet

Podwójne życie starej szkoły

Wola Gałęzowska, niewielka wioska oddalona około 40 km od Lublina. Od miejsca mojego zamieszkania, Bychawy, jakieś 5 km. Miejscowość, w której u boku moich dziadków Genowefy i Stefana wychowywała się moja mama i jej pięcioro rodzeństwa. Od małego uwielbiałam spędzać czas u dziadków na wsi. Do końca życia będę miała cudowne wspomnienia z niedzielnych wypadów do tego malowniczego miejsca, w którym znajdował się dom moich dziadków, położony wysoko na górze, między zawsze szumiącym lasem.

Dziadek miał to szczęście, że właśnie tam dorastał. U podnóża góry, na której mieszkał, w 1931 roku rozpoczęto budowę szkoły. Ówczesnie, mój 7 letni dziadek widział jak cała wieś własnymi rękoma budowała szkołę z grubych drewnianych bali. Jednak za nim opowiem o budowie, może warto wspomnieć trochę historii. W XIX wieku właścicielami Woli Gałęzowskiej byli Przewłoccy. Zofia Przewłocka odegrała dużą rolę w życiu mieszkańców. Zofia z Koźmianów Przewłocka (1818-1907) – urodziła się 18 lipca 1818 w Woli Gałęzowskiej. Była wykształcona muzycznie, grała na fortepianie i śpiewała. Około 1850 r. przenieśli się do Woli Gałęzowskiej z Wronowa pod Chodlem. Właścicielka Woli Gałęzowskiej była typem polskiej patriotki pielęgnującej w swoim domu i najbliższym otoczeniu wartości narodowe. Zawsze otwarta na potrzeby innych, do późnych lat włączała się w działalność dobroczynną i różne akcje pomocy. W pierwszej połowie XIX w., poza Bychawą nie istniała w okolicy inna szkoła, a i w naszym miasteczku działała nieregularnie. Zofia Przewłocka od samego początku miała wewnętrzną potrzebę kształcenia dzieci w Woli Gałęzowskiej. Na początku nauczała je na swoim dworze. Lekcje udzielała im sama lub z pomocą wynajętych nauczycieli. Relację z takiego pobytu u Przewłockiej pozostawiła nam pewna dziewczyna: „Moja matka zawiozła mnie do prywatnego, jedyne w swoim rodzaju zakładu naukowego, jakim była Wola Gałęzowska w Lubelskiem (...) nie chciała abym się uczyła po rosyjsku i dlatego nie powierzyła mnie szkole rządowej (...) Ale nie na programie nauk, ani na metodzie wykładów polegała wysoka wartość pedagogiczna Woli Gałęzowskiej, lecz tkwiła w atmosferze, w poziomie etycznym tego domu, w jego wielkim patriotyzmie, rozwijaniu w nas poczucia obowiązków społecznych, wreszcie dom ten stał na wysokim poziomie artystycznym w dziedzinie muzyki”. Przewłocka wychowywała i kształciła dzieci wiejskie, najczęściej sieroty, organizowała w swoim dworze szkółki, w których sama była nauczycielką i zakładała ochronki. Zofia Przewłocka była niestrudzoną działaczką społeczno-oświatową. Przez 43 lata prowadziła tajne nauczanie 60-80 dzieci wiejskich, aż 1888 roku, kiedy musiała przerwać nauczania z powodu zagrożenia więzieniem ze strony władz rosyjskich. W 1907 r. Zofia Przewłocka

zmarła. Na jej grobie dzieci ze wsi złożyły wieniec pożegnalny, na którym była szarfa z napisem: „Niech Ci jasność wieczna świeci. Za naukę chłopskich dzieci”. W 1931 roku, sfinansowana została w końcu szkoła w Woli Gałęzowskiej. Przez potomka Przewłockiej – Konstantego Przewłockiego, który chciał zwieńczyć pracę rodzinnej działaczki.

Mój pradziadek Józef był dworskim stolarzem i budowlańcem. Jako jeden z wielu własnymi rękoma budował ową szkołę. Poświęcił jej wiele swojego czasu i energii. Cała wieś włączyła się w prace budowlane. Ludzie oddawali największe sosny ze swoich dobytków, specjalnie pod budowę szkoły. Drzewo było składane w pobliżu placu budowy. Tam schło i czekało na pocięcie w ręcznym tartaku zwanym traczką. Po okresie żmudnych przygotowań materiał był gotowy. W późniejszym czasie dziadkowie opowiadali nam historie związane ze szkołą. Babcia opowiadała, że dziedzic Przewłocki powiedział ludziom z wioski, że funduje kościół. Tak naprawdę miała być to szkoła. Jednak obawiał się, że ludzie nie będą chcieli zaangażować się w budowanie szkoły. Pewny zaś był, że przy budowie kościoła ludzie chętnie pomogą. W pewien sposób ich oszukał, dlatego kiedy ludzie dowiedzieli się prawdy, zbuntowali się przeciwko niemu. Dziedzic szybko reagując, ufundował kolejny budynek, tym razem już na prawdę był to kościół, który na Woli Gałęzowskiej funkcjonuje i przyjmuje wiernych do dzisiaj.

Dziadek Stefan był naocznym świadkiem powstawania szkoły. Od pierwszego bala, aż po sam szczyt dachu. Dorastał, wychowywał się i uczył w tej szkole. Spędził tam większość lat swojego dzieciństwa. A kiedy nadszedł czas, jego wszystkie dzieci, w tym moja mama, rozpoczęły naukę w tej właśnie szkole podstawowej. Wspomnienia mojej mamy ze szkoły opisują jej wnętrze: „Klimat był niezwykle przytulny i przyjazny. Na górę wchodziło się stromymi, nierównymi drewnianymi schodami. Powycierane stopnie schodów naznaczone były swoimi latami. Dawały znak, mówiący o tym ile dziecięcych stóp po nich biegało. Były to kręte i tak strome schody, że wchodząc trzeba było mocno trzymać się balustrady. Od nowości nic nie zmieniane. Właśnie schody prowadziły do najładniejszego miejsca w szkole. Najładniejsza była góra, tam z obydwu stron były balkony. Od strony boiska i od strony sadu - otwierając przestrzeń na najważniejsze dla dzieci miejsca w okolicy. Wnętrze w całości było drewniane. Podłogi były zrobione z dużych drewnianych desek. Na górze znajdował się pokój nauczycielski. Obok pomieszczenie z kuchnią węglową, gdzie przygotowywali posiłki, na tak zwane „dożywianie”. Na górze znajdowały się również dwie duże sale lekcyjne. Kiedyś wydawało mi się, że sale były ogromne. Oczywiście, mogły mi się tylko takie wydawać. Oczami dziecka zawsze wszystko wydaje się być większe...”

W pamięci zapadły jej również ważne dla każdego, a szczególnie dzieci święta Bożego Narodzenia: „Na dole w dużej sali w okresie świąt Bożego Narodzenia zawsze stała choinka. W dzień Mikołajek, Mikołaj rozdawał prezenty w papierowych paczkach. Dziewczynki przebrane były za śnieżynki, w koszule z białym kołnierzem i białymi papierowymi koronami. Po prezentach dostawaliśmy poczęstunek: bułkę z masłem i kielbasą, a do tego była herbata. Niby nic, ale dzieci czekały na to „danie” z niecierpliwością. Szkoła ogrzewana była piecami

kaflowymi. Prostymi dużymi piecami, bez zdobień, z płytek w kolorach ugrów. Mimo to w szkole było zimno, dzieci siedziały w butach i kurtkach”.

Wspomnienia mamy są bardzo plastyczne, wnętrza szkoły możnaby swobodnie odwzorować, dlatego wejdźmy dalej do wnętrza starej szkoły: „Codziennie rano woźny palił we wszystkich piecach. Największą frajda była wtedy, kiedy Pan woźny pozwalał nam dzwonić drewnianym dzwonkiem na przerwy lub lekcje. A codziennie rano wlewał każdemu tusz do kałamarza. Bo oczywiście pisaliśmy piórami. Ławki były złączone z krzeselkiem. W stoliku była wywiercona dziurka na kałamarz. Takim piórkiem lub stalówką dzieci pisały naprawdę starannie. Na zewnątrz prowadziły duże, dwuskrzydłowe szklane drzwi z pięknymi mosiężnymi klamkami. Kiedy w szkole już nikogo nie było, szklane drzwi zamykane były drewnianymi drzwiami skrzydłowymi na kłódkę. W pobliżu była rzeka i sad, duże boisko i zalew. W szkolnym ogrodzie rosła jabłoń z dużymi soczystymi owocami. Wszystkie dzieci się nimi zajadały. Zajęcia z przyrody w okresie letnim zawsze były przeprowadzane w ogrodzie. Po jakimś czasie wstawili do niego huśtawki i karuzele. Życie dzieci kręciło się wokół szkoły. Nawet po zajęciach wszyscy zbierali się w pobliżu szkoły. Wszystkie swoje zajęcia dzieci organizowały w okół niej.”

Jeszcze w roku 1983/84 roku w szkole odbywały się lekcje, jeszcze wtedy jakoś funkcjonowała. Mama w tamtych latach pracowała w szkole w Józnowie, która była filią Woli Gałęzowskiej. Pewnego razu, moją mamę jako nauczycielkę plastyki w szkole w Józnowie zaproszono na radę pedagogiczną do szkoły w Woli Gałęzowskiej. Do głowy mamy napłynęły wtedy kolejne wspomnienia: „W końcu po tylu latach weszłam do sali, która najbardziej mnie intrygowała przez całe dzieciństwo. Była dla mnie najbardziej tajemnicza. Był to oczywiście pokój nauczycielski. Wewnątrz na środku stał ogromny stół, przy którym odbywały się zebrania. Pachniało kawą, a na wiszącej szafce, poukładane stały wszystkie dzienniki”.





Fotografie z kolekcji własnej, 2000 r.

Po wielu latach szkoła, opustoszała. Została całkowicie zamknięta. W okolicznych większych wsiach i miejscowościach zaczęły powstawać nowe szkoły. Małe szkółki, takie jak w Woli Gałęzowskiej obumierały. Wiele razy przejeżdżając z rodzicami obok pustego budynku szkoły dopytywałam ich o to miejsce. Wtedy mama opowiadała mi różne historie o tętniącym tam kiedyś życiu i biegających dzieciach. Najlepiej wspomniała okres zimowy. Mówiła, że tylko tam można było wypożyczyć łyżwy i udać się z nimi nad pobliski zalew. Całą zimę mieli wtedy zaplanowaną. W lecie organizowane były zawody sportowe i udostępnione boisko do siatki. Dzieci na wsi, dzięki szkole mogły zagospodarować swój czas na wszystkie dni wolne, we wszystkie pory roku. Budynek szkoły wyglądał nietypowo. Dla kogoś takiego jak ja, urodzonego w latach 90. szkoła kojarzyła się raczej z dużym murowanym budynkiem, zazwyczaj kwadratowym i szarym. Ta wyglądała inaczej. Przypomniała mi raczej jakiś drewniany dworek. Z zewnątrz miała dwuskrzydłowe okna podzielone na kwatery, dwuspadowy dach z naczółkami. Duże, reprezentacyjne drzwi. A co najważniejsza była zbudowana z litych, grubych sosnowych bali.





Fotografie z kolekcji własnej, 2000 r.

W 2000 roku szkołę wystawiono na sprzedaż. O dziwo, historia kończy się tak, że to właśnie moi rodzice zostali jej właścicielami. Rozbiórka szkoły trwała kilka miesięcy. W jej wnętrzach znajdowały się góry starych książek. Przez kilka dni z zaciekawieniem przeglądaliśmy je szukając czegoś wyjątkowego. Oczywiście nie byliśmy w stanie przejrzeć każdej z nich z osobą. Najwięcej jednak było zeszytów - od różnych przedmiotów, z różnych lat, różnych dzieci, z różnych klas. Oprócz książek i zeszytów, można tam było znaleźć kałamarze, liczydła, tablice, ławki, krzeselka i przeróżne stare narzędzia szkolne. Część rzeczy zachowaliśmy do dzisiaj. Pachnące kurzem i minionymi latami, leżą w specjalnie wydzielonej szafce. Po rozbiórce, szkołę przeniesiono do nas na działkę w Bychawie. Po sumiennym oczyszczeniu i przygotowaniu bali do ponownego "życia" zaczęła się budowa. Bal do bala, każdy dopasowany niczym puzzle, powoli tworzył nasz nowy/ stary dom. I tak oto, do dnia dzisiejszego mieszkam w nowym domu, który tak naprawdę ma prawie 100 letnią historię. Jego ściany są naznaczone historią, wydarzeniami i przepełnione tamtejszym życiem.

W nocy nieustannie słychać jak sosnowe bale strzelają pod wpływem zmiany temperatury. Jednak dla mnie sprawiają wrażenie jakby dawały znaki zmęczenia, co jakiś czas popadając w chwilę odpoczynku. Mieszkam pomiędzy ścianami,

które pamiętają wiele. Między ich wspomnieniami znajduje się gdzieś mój pradziadek, dziadek, wujostwo i ukochana mama. Przepelnione są ich śmiechem, zabawą, radością, ale i zapewne złością, zawodem i rozterkami. Tak oto historia zaczęła się od mojego pradziadka Józefa, który szkołę budował własnymi rękoma. Szkoła była częścią życia mojego dziadka, naocznego świadka budowy i jednego z pierwszych uczniów, następnie mojej mamy, jej rodzeństwa, którzy dzięki szkole mieli bardziej atrakcyjne i barwniejsze dzieciństwo. A teraz ja, mój brat i jego syn. Wszyscy wspólnie, razem z moją mamą, pamiętającą jeszcze pierwsze życie szkoły, przeżywamy dobre i złe chwile w ścianach naszego „nowego domu starej szkoły”. Pięciomiesięczny syn mojego brata, a praprawnuk naszego dziadka Józefa, również swoje najlepsze chwile dzieciństwa spędzi w tym wciąż tętniącym życiem 92 letnim budynku. Dawna szkoła, teraz nasz dom, przeżyła już wiele i przeżyje dużo więcej - patrząc jak nasza rodzina stopniowo się powiększa i zmniejsza. Obserwując nowych, którzy przychodzą i starszych, którzy odchodzą. Otaczając nas swoimi drewnianymi ścianami, dając nam jedyne intymne i prawdziwie „nasze” miejsce na ziemi. Otulając nas swoją atmosferą, oferując miejsce wytchnienia, spokoju i odpoczynku. Dając nam miejsce schronienia i od lat w swoich drewnianych balach przechowując wszystkie lata historii naszej rodziny...





Fotografie z kolekcji własnej, 2003 r.